№ 58. Warszawa, dnia 7 (19) Lipca 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.
Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

SZKICE ANTROPOLOGICZNE

przez

Stanisława Chomentowskiego.

II.

Dokończenie. (Ob. Nr. 57).

Przegląd ludów zamieszkujących kulę ziemską, według systematu etnograficznego.—Europa i rassa kaukazka.—Afryka i rassa czarna czyli etyopska. Australia i rassa malajska.—Azya i rassa mongolska. Ameryka i rassa indyan czerwonoskórych.—Najnowsza bibliografia dotycząca rass ludzkich.

Chociaż trzy razy większa od Europy **posiada jednak o jednę czwartą część mniéj wybrzeży** w porównaniu do téj ostatniéj, co ztąd pochodzi że nie ma tam głęboko w ląd zachodzących odnóg i zatok morskich. Nie widzimy też w Afryce owéj wielkiéj liczby rzek, jakiemi odznacza się nasza część świata. Nakoniec nie ma prawie zupełnie wysp, które w takim licznym wieńcu rozrzucone są w pobliżu brzegów europejskich. Wprawdzie po przekopaniu kanału Suezkiego cała Afryka stała się wyspą, ale też ląd stały téj wyspy jest tak wielki, że wewnątrz niego wszelkie komunikacye z oceanem prawie są dotąd niepodobnemi. Ponieważ zaś nic się tak nieprzyczynia do ułatwienia wzajemnych stosunków pomiędzy ludami jak morze, przeto w Afryce stosunki te są do najwyższego stopnia utrudnione.

Po znakomitych odkryciach dokonanych w nowoczesnéj astronomii do których należą udoskonalenie teleskopów i zastosowanie analizy spektralnéj, czyli rozbiór widma słonecznego, oraz badanie pierwiastków chemicznych wchodzących w skład ciał niebieskich, śmiało możemy powiedzieć, że księżyc i planety lepiéj nam są znane niż niejeden kraj w środku Afryki położony. Cała prawie Afryka leży w pasie gorącym, stąd nieznośne upały idą tam naprzemian po ulewnych deszczach: nie ma owych umiarkowanie ciepłych a zarazem suchych pór roku, jakiemi nieraz odznacza się u nas tak jesień jak i wiosna.

Na południu Afryki ląd jest wysoko nad poziom morza wzniesiony i niezbyt urodzajny, na północy zaś wzniesienie lądów nad poziom morza jest bardzo nieznaczne, a obszerne pustynie piaszczyste i liczne bagna, czynią znowu nie możliwą wszelką uprawę roślin, Wyjątek jednak tak pod względem fizycznej budowy, jak i rodzaju mieszkańców, stanowi północny, nadbrzeżny pas lądów afrykańskich, ciągnący się pomiędzy Sacharą a morzem śródziemném. Może nawet kiedyś w okresie z przedhistorycznych czasów, ów północny pas ziemi był zupełnie oddzielony od brzegów Afryki, za pomocą morza obecnie wyschłego, którego dno podniesione stanowi dzisiejszą Sacharę. Pas ten północny pod wieloma względami zbliża się do południowych kresów Europy, z któremi nawet przed tysiącami lat mógł być ściśle złączony w okolicach Gibraltaru, zanim woda nie przebiła owego wązkiego kawałka lądu i nie utworzyła dzisiejszéj cieśniny. Ale i w obecnym czasie ów pas nadbrzeżny po nad morzem śródziemnym, posiada podobny klimat i roślinność jak i południowo europejskie kraje, z któremi w znacznéj części ściśle jest połączony pod względem politycznym jak to widzimy w Algierze francuzkim i posiadłościach lennych tureckich. Z wyjątkiem jednak tego nadbrzeżnego pasa, mieszkańcy Afryki należą do odrębnéj rassy, od koloru skóry zwanéj czarną, murzyńską, lub też, niewłaściwie zresztą, etyopską. Kształt czaszki u ludów tych jest *klinowaty*, powstały skutkiem zwężenia takowéj od tyłu ku przodowi. Szczęki mocno naprzód wystające, wązkie; szczęka górna tak jest wydłużoną że zęby przednie osobliwie stoją nieco krzywo. Powierzchnie boczne tych czaszek są płaskie, dołki policzkowe wgłębione, jamy nosowe dosyć duże, czoło pochylone ku tyłowi, a kąt twarzowy wynosi tylko 70 do 75 stopni. Według zaś podziału przyjętego przez *Retziusa* kształt twarzy murzynów należy do działu wystająco-szczękowego, czyli prognatycznego, gdy tymczasem u ludów należących do poprzedniéj rassy tylko Kopci i Abisyńczykowie, pod względem składu twarzy okazują pewien stopień prognatyzmu. Według tegoż samego *Retziusa*, który dzieli czaszki na dwie tylko zasadnicze formy, mianowicie na *długogłowe* czyli dolichocephaliczne i krótkogłowe czyli brachycephaliczne, czaszki rassy etyopskiéj zaliczają się do długogłowych. Według spostrzeżeń: Parchappe'a, Mortona i Huchkego, mózg u ludzi téj rassy waży po większéj części mniéj niż u kaukazkiéj, i wnętrze czaszki równie jest mniejsze, tak, że pod względem obu tych charakterów murzyni zbliżają się do kobiet i dzieci europejskich. Zdarzają się jednak liczne wyjątki pomiędzy któremi tak waga mózgu jak i objętość zawartości czaszki, równie znaczną jest u murzynów jak i u najlepiéj pod tym względem wykształconych ludzi rassy kaukazkiéj. Wyraz twarzy murzyna ma mniéj lub więcéj pewien odcień dzikości, co pochodzi stąd że u ludzi téj rassy te części muskulatury szczególniéj są rozwinięte, które przyczyniają się bądź do zaspokojenia potrzeb fizycznych, bądź też do odbywania ciężkiéj pracy ręcznéj i tak szczególniéj widzimy tu rozwinięte mięśnie żwacze, grzbietowe, oraz grube wargi.

Mieszkaniec wnętrza Afryki, przez długie

wieki zamknięty od wpływów zewnętrznych, stanął na pierwiastkowém polu cywilizacyjném, oddając się myśliwstwu, rybołówstwu i życiu koczującemu. Jak w ojczystym jego klimacie nie ma przejść powolnych i łagodnych od jednéj pory roku do drugiéj, tak i w charakterze mieszkańca téj rassy daje się dostrzegać łatwość przechodzenia od jednéj ostateczności w drugą. W stanie wolnym, murzyn pochopnym jest do walki, lub bójki, częstokroć bez rozsądnéj przyczyny, porywając się jednak rączo do boju, jeszcze prędzéj z pola bitwy umyka. Zaprzedany w niewolę, jęczy pod razami dozorców, lecz w jednéj chwili, na ich skinienie przechodzi do szalonéj wesołości. W ogóle rassa czarna reprezentuje stan długotrwałego dzieciństwa w ludzkości. Dziecię to wprawdzie przez lat tysiące zaniedbane, ale jednak mogące się wykształcić, pod dobroczynnym wpływem cywilizacyi europejskiéj, jak tego liczne dowodzą przykłady. Murzyni wprawdzie nie okazują żadnéj zdolności twórczéj, wynalazczéj, ale z łatwością naśladują europejczyków. Leigthon Wilson (*) chwali towarzyskość i szlachetność murzynów, oraz ich cnoty religijne, moc charakteru, przebiegłość, bystrość spostrzegawczą, zręczność w handlu, którą niekiedy górują nawet nad europejczykami. Prowadzą murzyni na wielką skalę handel w Timbuktu, Sansanding i innych miastach wewnątrz Afryki położonych; towary ich rozchodzą się po całym lądzie stałym téj części świata. W ojczystym kraju swoim są oni przezorni i oględni, uprawiają pola zawsze we właściwym czasie i starannie zajmują się zbieraniem i przechowywaniem sprzętu. Mało mają wprawdzie usposobienia do działalności umysłu oderwanéj, abstrakcyjnéj, ale za to posiadają wyborną pamięć, żywą fantazyę i dar naśladownictwa. Na wschodnich wybrzeżach Afryki, jedno tylko plemie Wegs'ów, według tegoż Leygthona, wynalazły alfabet i posiadą pisma, inne zaś ludy tych okolic nie mają własnéj literatury, ale za to obfitują w ustnie opowiadane legendy, podania, baśnie i przypowieści. Niektórzy z nich są dobrymi praktycznymi botanikami i mineralogami. Leygthon Wilson poznał w Sierra Leone bogatych murzynów będących w wielkiém poważaniu u kupców europejskich. Krajowcy ci posyłali w części dzieci swoje na wychowanie do Anglii. Rzeczony podróżny widział też tam pułk milicyi złożony w czterech piątych częściach z wolnych murzynów. Czarni krajowcy wchodzą też w znacznéj liczbie, jako członkowie do składu sądu przysięgłych, a o ich wyrokach najwyższe władze sądowe kolonii odzywają się bardzo pochlebnie. Jedynym ludem wschodniéj Afryki który posiada historyą i to zaledwie sięgającą początku zeszłego stulecia, są Ashatysowie, o których nawiasem wspominamy iż mężczyzna w tém większém jest u nich poszanowaniu im więcéj ma żon i niewolników. Królowi zaś ich prawem jest dozwolone mieć 3333 żon. Ashatysowie są narodem możnym bogatym i wojowniczym.

Charakterystyczną w śród ludów murzyńskich jest miłość dzieci dla matek. W powszechném użyciu jest u nich przysłowie: „Wybij mnie, lecz nie przeklinaj matki mojéj." Wielu z pomiędzy czarnych władców afrykańskich zabronili w ciągu bieżącego stulecia składania ofiar z ludzi, oraz usiłowali złagodzić dzikość i surowość obyczajów swych poddanych, popierając u nich wszelki postęp w rzemiosłach, handlu i rolnictwie. Zmarły przed laty kilku w naszym kraju, w Łodzi, murzyn, artysta dramatyczny, Ira Aldrige, jest dowodem, iż pod wpływem dobroczynnego światła cywilizacyi, plemię czarne posiada zdolność do kształcenia się w różnorodnych kierunkach. Istnieje zresztą już dość liczny zastęp uczonych murzynów, którzy występują z pożytkiem dla ogółu na polu literackiém. (*)

Z kolei wypada nam przejść do innéj części świata, złożonéj wyłącznie z licznéj gromady dużych i małych wysp. Czytelnik łatwo się domyśli że mamy tu na myśli wielki archipelag Australii i Nowéj Zelandyi. Przejście to tem jest właściwsze, że rassa ludzi zamieszkująca tę część ziemi przez wielu antropologów uważaną jest za najbliższą do poprzednio opisanéj, etyopskiéj, przez niektórych nawet uważaną jest za jednę i tę samą rassę.

Blumenbach nazwał ją *malajską*, inni antropologowie zowią ją *australską*. Część świata którą ta rassa zamieszkuje, przedstawia pod wieloma względami ów stan, jaki ziemia okazywała w owczas gdy jeszcze wszelkie twory na niéj znajdujące się nie doszły do stanu zupełnéj doskonałości. Oceania ma w rzeczy saméj coś zarodkowego, jeżeli spojrzymy na jéj liczne o poszarpanych brzegach wyspy, jéj dziwaczną florę i faunę, wśród któréj fantastyczne zwierzęta ssące, pokryte kolcami (Marsupialia) okazują jakby jakiś stan przejściowy od ptaków do właściwych ssących, i są odzwierciadleniem niedojrzałości przyrody australskiéj. Najbardziéj jednak wydatne przeciwstawienie wszelkim innym ludom, przedstawia rassa ludzi którzy tę część świata zamieszkują. Stoi ona pod względem umysłowym jeszcze na niższym szczeblu od poprzednio opisanéj, etyopskiéj. Rassa malajska, to najmłodsze, najmniéj wykształcone dziecię ludzkości. Fizyczna też budowa tych plemion, obok ostrego kąta twarzowego i budowy czaszki zbliżonéj do afrykańskiéj, wyróżnia się od téj ostatniéj większą długością kości przedramieniowych, jako też palcy u rąk i nóg, oraz często wydarzającym się zrośnięciem ósmego żebra z mostkiem. Pod względem umysłowym dostrzegamy również u ludów rassy australskiéj ową bezmyślną częstokroć grę namiętności, jaką widzieliśmy u murzynów afrykańskich i to jeszcze w wyższym stopniu. Prawie bez przyczyny murzyn australski wpada nieraz we wściekłość, którą możnaby tylko porównać z napadami szału wydarzającego się u pacyentów naszych zakładów dla obłąkanych. W takim stanie rzuca się na wszystko, zabija wszystko to co zabić może. Murzyn australski tak samo jak i afrykański nie jest w stanie sam się wykształcić: potrzebuje do tego pomocy z zewnątrz. Téj pomocy, nie zważając na grożące im niebezpieczeństwo, udzielają mu missyonarze europejscy, przynosząc mu jednocześnie w darze dwie zapalone pochodnie: światła wiary chrześciańskiéj i światła cywilizacyi.

Po téj wycieczce do nowego świata wróćmy znowu do starego, a mianowicie do Azyi, która przedstawia zupełnie odmienny od Afryki widok. Wszystko tu się poczyna, czego brak było w Afryce. Już pierwszy rzut oka na kartę geograficzną wskazuje nam, że istnieje już w Azyi mocniejszy rozwój brzegów, przynajmniéj z dwóch jéj stron, jak tego dowodzą liczne zatoki morskie wyskakujące półwyspy i wreszcie wyspy, w blizkości wybrzeży leżące. O jednostajności klimatu nie może być i mowy w téj części kuli ziemskiéj, która mieści w sobie trzy pasy, zimny umiarkowany i gorący. Pod względem wzniesienia gruntów, przeważają płaskowzgórza, doliny jednak nie są już wyłącznie tylko bezużytecznemi bagnami lub pustyniami piaszczystemi jak w Afryce. Z owych płaskowzgórzy ku dolinom zwracają łożysko swoje szerokie i wielkie rzeki, niby gościńce prowadzące do morza. Mieszkaniec azyatycki występuje pod postacią tak nazwanéj rassy mongolskiéj. Rassa ta przybrała nazwę od właściwego ludu mongołów, o którym musimy tu pokrótce wspomnić. Z dna morza kaspijskiego unoszą się w pewnych porach roku gatunki wielkich ryb, a następnie dostawszy się do Wołgi rozbiegają się na północ i północo-wschód Europy. Również z nizin południowych, sąsiadujących z dopiero co wspomnianem i Aralskim morzem, ciągną często stada ptaków lądowych i wodnych ku zachodowi i północy. Z téj także okocy wybiegają nieraz gęste massy owadów niosących zniszczenie dla roślinności, zarówno południowo jak i północno wschodniéj Europy. Jednem słowem większa część żyjącéj przyrody zdaje się w tych okolicach wieczną, niby żyd tułacz odbywać wędrówkę, z południo wschodu ku zachodowi. Jak się teraz dzieje ze zwierzętami, tak było niegdyś z ludźmi. Z wyjątkiem żyźniejszych oaz i nadbrzeży rzecznych na północy i południu, w których kwitnęły miasta Taszkent, Samarkanda, Buchara i Chiwa, pozostałe okolice téj części Azyi zamieszkane były przez koczujące plemiona, a w części i dotąd są przez nie zaludnione. Z drugiéj strony wysokich gór wschodnich, ku wnętrzu Azyi, znajdują się inne pustkowiem leżące niziny podobne do Aralsko Kaspijskich. Są to pustynie „*Gobi*" i „*Szamo*," zwane przez Chińczyków morzem piaszczystym, a zamieszkałe również przez koczownicze plemiona. Częstokroć przejeżdżali ruchliwi jeźdzcy wschodniego morza piasków, przez pasmo gór, do zachodniéj kotliny Kaspijskiéj, przywożąc tamtejszym mieszkańcom nowych panów i nowy przybytek ludności. Inną znowu razą zachodni koczownicy nawiedzali z ogniem i mieczem wschodnich sąsiadów swoich. Najczęściéj jednak zdarzało się, że oba te ludy łączyły się na wspólną wyprawę, i podobni do ptaków wędrownych o których wspominaliśmy powyżéj, wdzierali się do Europy przez szerokie wrota Uralsko Kaspijskie, a naśladując również im domorosłą szarańczę, roznosili wszędzie gdzie dobiegli pustkowie i zniszczenie. Nie będziemy opisywać owych napadów *mongolskiego plemienia* na naszą część świata, ponieważ jest to przedmiot należący już więcéj do dziedziny historyi narodów. O téj zaś rassie mongolskiéj, z naszego stanowiska powiemy tylko że przedstawia ona zabarwienie skóry żółte, żółto-brunatne, aż do brunatno ciemnego, rzadkie czarne włosy, wyraz twarzy cechuje się wązkiemi małemi oczami które często bywają skoszone i zaciśniętym nosem. Kształt czaszki *szerokotwarzowy*. Twarzowa część czaszki, w skutek silnego rozwinięcia łuków jarzmowych niepomiernie na szerokość rozwinięta, stąd twarz staje się mocno spłaszczoną, kości nosowe mało wydatne, dołki policzkowe słabo wgłębione, cała czaszka zaś przybiera kształt prawie czworokątny, ku górze zaś jest cokolwiek piramidalnie wzniesioną, Ztąd mniéj niż u ludów kaukazkiéj rassy pozostaje miejsca wewnątrz głowy na mózg. Dodamy tu jeszcze że spłaszczone policzki przechodzą w mało wypukłe szczęki; broda sterczy ku przodowi, nizkie czoło zbiega ku tyłowi, a kąt twarzowy wynosi 75 do 80 stopni. W tem miejscu musimy przypomnieć czytelnikowi, że u mieszkańców rassy kaukazkiéj kąt ten wynosi 80

(*) Patrz Antropologiche Vorträge von M. Perty. 1863. str. 80.

(*) Patrz *Perty*: dzieło wzmiankowane str. 83.

do 85, a u czarnéj rassy, 70 do 75 stopni. U indywiduów najwydatniéj ukształconych rassy mongolskiéj, wymiar podłużny czaszki, mało co jest większy od wymiaru poprzecznego. Takie typowe czaszki najczęściéj wydarzać się mają u tunguzów i kałmuków. Ci pierwsi zaś (tunguzi) równie jak i chińczycy, odznaczają się od innych ludów swéj rassy, prognatyzmem, to jest wystającemi szczękami i krzywo ustawionemi w nich zębami. Chińczycy zaś są zazwyczaj długogłowi, czyli czaszki ich należą do formy dolichocephalicznéj. Zmysły niektóre u ludów téj rassy są częstokroć słabiéj niż u innych rozwinięte (skoszone oczy), ale w zamian za to przyjmowanie wrażeń, czyli percepcya, jest bystrzejsza; siły muskularne również mniejsze cokolwiek niż w sąsiedniéj rassie kaukazkiéj, ale to zmniejszenie ich wynagradza lekkość i zręczność mieszkańców mongolskiéj rassy. Jak murzynów porównaliśmy do małych dzieci w ludzkości, tak mieszkańców Azyi wypada przyrównać do ludzi którzy zaczynają żyć na własną rękę. Oni też w rzeczy saméj otworzyli dzieje ludzkości, rozwijając pierwsi pojęcia religijne i zakładając państwo. Ale też po dziś dzień przetrwali w takim stanie, w jakim byli na początku dziejów tego świata. Ślepi niewolnicy kastowości i licznych swoich władców, nie doszli do pojęcia samorządu. Pod względem religijnym wierzący w ciemne *fatum*, w przeznaczenie i fatalizm, złą lub dobrą gwiazdę, nie mogli się wznieść przez długie wieki do wzniosłych pojęć Chrystyanizmu, który prawie powstał na kresach ich części świata, ale wśród ludu należącego już do rassy kaukazkiéj. W charakterze ludów rassy mongolskiéj, góruje nad innemi objawami pewien rodzaj apatyi który musimy uważać za znaczny stopień otępienia umysłowego. Cokolwiek miały te ludy dokonać, to już spełniły, ich dorobek już ukończony, są one *przeżyte* i przeżytemi pozostaną dotąd, dopóki ich odświeżająca cywilizacya europejska nie odmłodzi i niezamieni, pod względem umysłowym przynajmniéj, na europejczyków.

Jak rassa afrykańska ma poboczny odcień w Australskiéj, tak znowu mongolska, czyli azyatycka, zbliżała się wielce do *amerykańskiéj*. Do téj ostatniéj jak wiadomo należą indyanie czerwonoskórzy, nazwani od koloru powłok powszechnych, czerwono miedzianego, stanowiącego mięszaninę barwy brunatnéj z żółtą. Ale nie tylko zabarwienie skóry zbliżające te dwie rassy, czyni prawdopodobném przypuszczenie że ludy azyatyckie od północy zaludniły Amerykę. Mieszkańcy Amerykańskiéj rassy posiadają również włosy czarne i rzadkie, zarost mają rzadki, osobliwie na brodzie, czaszka jest prawie mniejszą niż u rassy mongolskiéj, kształtem zaś bardzo do téj ostatniéj podobną, ale oprócz téj postaci wydarzają się u indyan czerwonoskórych dwa inne kształty czaszki z których jeden przypomina rassę kaukazką, a drugi afrykańską. Chytrość i przebiegłość wielka zastępuje tu mniejszą stosunkowo siłę muskularną. Dosyć jest przeczytać słynne powieści *Coopera*, ażeby mieć wyobrażenie o téj niezrównanéj, prawdziwie lisiéj przebiegłości indyan amerykańskich, któréj śladów ani podobna dostrzedz u innych ludów. Ale też nic w tém dziwnego, starcy zwykle zastępują rozwagą i przemysłem, odwagę młodzieńczą, a rassa czerwono-skóra przedstawia zgrzybiałą starość w ludzkości, zbliżającą się do grobu i w rzeczy saméj wykazy statystyczne donoszą rok rocznie o coraz bardziéj zmniejszającéj się liczbie tego plemienia, które ustępuje miejsca energicznym nowo-europejczykom, jakiemi są pod każdym względem dzisiejsi mieszkańcy ameryko-europejskiego pochodzenia.

W tem miejscu wypada nam się zatrzymać nie chcąc nadużywać cierpliwości czytelnika, zbyt długą gawędą o rassach ludzkich. W następnym szkicu powrócimy znowu do tego przedmiotu, ale już nie ze stanowiska etnograficznego, jak to miało miejsce w obecnym. Na zakończepodajemy tytuły dwóch znakomitych prac w tym przedmiocie, które ukazały się w tych czasach w języku francuzkim. Jedna z nich nosi tytuł „Les races humaines, où élements d'etnographie par d'Omalius d'Halloy, avec figures en couleurs et carte. Cinquieme édition. 1 Vol. In 8. Paris 1872. Drugiéj autorem jest powszechnie znany *Figuier*, nosi ona również tytuł: *Les races humaines.* O dziele tém podał sprawozdanie bardzo dla autora pochlebne, słynny Virchow, na posiedzeniu Berlińskiego towarzystwa antropologicznego, z dnia 13 Stycznia, 1872 r. (patrz Correspondenz Blatt der deutschen Gesellschaft für Antropologie, Ethnologie und Urgeschichte. Redigirt von Dr. A. v. Frantius in Heildelberg. 1872. Januar. Nr. I. Str. 20). Pracy téj genialny referent jeden tylko zrobił zarzut, że Figuier nieprzychylnie wyrzaził się o Prusakach powtarzając zdanie wyrzeczone przedtém przez Quatrefages'a, które brzmi jak następuje: „Prusacy nie są ani niemcami, ani sławianami, są oni *tylko* prusakami." (Les Prussiens ne sont ni des Allemands, ni des Slaves, il sont des Prussiens.)

NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 57*).

Augustynowicz popatrzał chwilę za niemi, wreszcie kiwnął parę razy głową i rzekł:

— Na Proroka! rozumiem ją. Ona ma racyę ale i Szwarc także. Hej! trzeba łatać póki się wszystko nie pozrywa.

Za chwilę biegł do Pełskiego. Opowiedział mu rzecz całą.

— Jakiś fatalizm, kończył Augustynowicz, ciążył na nich. Szwarc nie mógł inaczéj postąpić. Prawda, hrabio?

— Postąpił jak mu się podobało, ale co pana skłoniło do zawiadamiania mnie o tém?

— Bagatelka! Jeszcze jedno pytanie: czy Lula odrzucając pańską rękę nie postąpiła szlachetnie?

— Odpowiedź sobie zostawiam.

— Zostaw ją kochany panie! Mnie wszystko jedno, mnie Lula nie obchodzi; wiem tylko, że gdy Szwarc się usunie przyszłość jéj nie będzie do zazdrości; a pan jesteś jéj kuzynem... Szkoda...

Pełski zamyślił się.

— Szkoda? ha! co za szkoda?

— Że panskie oświadczyny nie przypadły nieco późniéj.

Pełski szerokiemi krokami chodził po pokoju.

— Teraz, nigdy! szepnął do siebie.

Augustynowicz usłyszał ów monolog.

— Za późno, za późno! kochany panie... Ale, ale—jeszcze maleńka prośba: Nie mów nikomu, żem tu był; szczególniéj nie mów u pani Wizbergowéj lub Szwarcowi jeżeli ich będziesz widział kiedy.

— Co mu na tém zależy?

— Wszystko, alebyś tego nie zrozumiał, drogi hrabio. Do widzenia!

Pełski zostawszy sam, długo rozmyślał, coby istotnie Augustynowiczowi mogło na tém zależeć? Nie wymyślił nic, ale doszedł do przekonania że jemu samemu mogło coś na tém zależeć.

— Mógłbym wrócić do niéj, udając, że nie wiem o niczém, mówił... Biedna Lula!

XX.

Dwie panienki siedziały milczące w pokoiku Luli. Bolesne to było milczenie. Jeśli bywają ciężkie chwile w życiu, wszystkie rzuciły swój ciężar na obecną dolę Luli. Podeptano wszystko co miała świętego w piersiach. Ona w tę miłość włożyła najlepsze cząstki swéj istoty moralnéj, ona zwycięztwo jéj obchodziła jak uroczystość weselną—przez siłę tego uczucia podniosła się z chwilowego upadku, zwyciężyła przesądy rodowe, odrzuciła rękę kochającego człowieka, z nią razem przyszłość spokojną, życie w dostatku, własną niezależność—a za to wszystko zapłacono jéj wieścią, że ten, którego kochała—żeni się!

O! więcéj jeszcze straciła. Cała anielskość, w którą ubrały ją dni poprzednie, załamywała się dziś w gruzy zwątpienia. Dusza jéj mogła wyschnąć do dna! Czyż razem z miłością nie traciła i wiary i nadziei—nie w teologicznym sensie—ale w całéj ich żywotnéj wartości w życiu? Ziemia usuwała jéj się z pod nóg. Niby łódź bez wiosła, miała płynąć w przyszłość bez brzegu. Sierota, dziś przygarnięta przez zacne serca, jutro mogła ocucić się po prostu głodna, bez kawałka chleba;—dziś jeszcze tak biała, że na jéj piersiach mogłyby kwitnąć lilie, mogła w przyszłości poplamić ową białość żółcią własnéj goryczy; dziś pół-dziecię prawie,—wiosna, majowy ranek! miała za tyle a tyle lat oglądać bezowocną jesień życia.

Upokorzona, połamana „niby od burzy krzew," zepchnięta z posad moralnych, zabita na szczęściu, z suchém płonącém okiem, konwulsyjnie cisnęła do siebie płaczącą Malinkę. Lula nie płakała; chociażby miała jeszcze łzy do płaczu osuszyłby je gniew.

Malinka zresztą płakała za dwie.

Nazajutrz hrabianka odebrała dwa listy—jeden od Pełskiego, drugi od Szwarca.

„Pani! (pisał Pełski) Boleść jakiéj doznałem w skutek twéj odpowiedzi nie dozwoliła mi rachować się z własnemi słowami. Odrzuciłem przyjaźń którąś mi ofiarowała: żałuję tego postępku. Jakkolwiek nie umiem sobie zdać sprawy z twego postępowania ze mną, widzę jednak że w końcu poszłaś za głosem serca. Oby ten głos nie omylił cię pani! Oby twój wybrany kochał cię tyle co ja—byłbym spokojny o twe szczęście. Nie zarzucam mu nic, nie śmiem sądzić człowieka, którego kochasz. Co do mnie zmuszony twardą koniecznością rozstać się z nadzieją posiadania ciebie błagam jak o największą łaskę, nie pamiętaj na słowa moje wyrzeczone w chwili bólu, dozwól mi wrócić i upomnieć się o ową niebacznie odrzuconą przyjaźń, która w przyszłości ma mi szczęście całego życia zastąpić."

List od Szwarca przyniósł wieczorem od Augustynowicz. Lula nie chciała go otworzyć.

— Nie czyń mu p ni téj krzywdy mówił błagalnie Augustynowicz: bo i tak w téj chwili mój stary może już...

Łzy dusiły go, dalsze słowa więzły mu w gardle.

— Może to już ostatnie jego słowa... Wczoraj odwiozłem go do szpitala, wyszeptał.

Lula pobladła jak płótno; zdawało się że za chwilę zemdleje. Naprożno siliła się utrzymać spokój i chłód twarzy—cała jéj postać drżała jak liść.

Bądź co bądź, kochała Szwarca.

Wzięła list z ręki Augustynowicza. List brzmiał jak następuje:

„Pani! Umiałem przenieść stratę twéj ręki, ale nie twego szacunku. Czytaj i sądź! Umierający przyjaciel zostawił mi na opiekę kobietę, którą kochał całą siłą rozdartego serca, a któréj miłość mimowoli mu wydarłem. Po jego śmierci poznałem ją bliżéj, i zdało mi się, że ją kocham. Nieszczęściem powiedziałem jéj to. Potém... Ty wiesz ukochana, co nastąpiło potém. Sam przed sobą ukrywałem nieszczęsne przywiązanie do ciebie. Ilem wycierpiał! O daruj mi! I jam człowiek, i ja musiałem kochać, a jednak nie z moich ust dowiedziałaś się o téj miłości. Gdym wreszcie stanął przed własném sumieniem, gdy przyszła chwila upamiętania — sądź sama jak miałem postąpić? gdzie pójść? co wybrać? Przysięga umierającemu, słowo dane nieszczęsnéj nad wszelki wyraz kobiecie, wszystko prócz serca nakazywało mi wyrzec się ciebie. Nie z mojéj winy dowiedziałaś się o tém dopiero wczoraj. Wieść ta miała dolecieć cię razem ze zjawieniem się Pełskiego. Nieszczęście i lekkomyślność ludzka inaczéj



Stado koni. Kopia z aquarelli Juliusza Kossaka. (Ob. opis Nr. 22).

chciały. Oto stan rzeczy! Sądź—jeśli umiesz, przebacz. Adam mówi, żem chory... Tak jest, myśli mi się plączą, czuję żar we krwi, a z bólu i zamętu jedno widzę jasno... że kocham! kocham cię, aniele!"

Po przeczytaniu listu resztki gniewu i dumy znikły z czoła Luli; na jéj pięknéj twarzy osiadł łagodny choć głęboki smutek.

— Panie Adamie, rzekła do Augustynowicza: powiedz mu pan, że postąpił jak był powinien.

Augustynowicz rzucił się przed nią na kolana.

—I mnie przebacz pani! Byłem niesprawiedliwy; krzywdziłem cię, ale ja nie znałem... jam nie wiedział, że są tacy aniołowie na świecie!...

XXI.

Prosto od Wizbergowéj Augustynowicz udał się do szpitala, gdzie został przez całą noc. Szwarc miał się źle i bardzo źle. Tyfus rzucił się na ten silny organizm grożąc zniszczeniem go zupełném. Około północy chory zaczął majaczyć; rozmawiał z sobą i sprzeczał się zacięcie o nieśmiertelność duszy z czarnym kotem, którego widział siedzącego na krawędzi łóżka. Zdawało się że obawiał się śmierci, bo kilkakrotnie na jego twarzy malowało się nieopisane przerażenie. Lękał się i drgał bardzo wyraźnie za każdém poruszeniem Augustynowicza, chwilami śpiewał drżącym głosem i jakby przez sen różne wesołe i smutne piosenki, lub rozmawiał ze znajomymi. Był nawet pewien przerażający humor w naturalności tonu tych rozmów. Augusty-



Żelazny Most pod Lima.

wicza rozstrojonego i tak wypadkami dni poprzednich, drażniło to niewypowiedzianie. Z utęsknieniem wyczekiwał ranka, często spoglądając na szyby, które jak na złość ciągle były zarówno czarne. Na dworze była głęboka ciemność, a drobny deszczyk zacinając w szyby, napełniał pokoik szpitalny monotonnym i przykrym dźwiękiem.

Dawno tak smutne i niespokojne myśli nie błąkały się w głowie Augustynowicza jak w téj chwili. Wsparłszy łokieć na kolanach i ukrywszy twarz w dłonie, rozmyślał nad dziwną a gorzką plątaniną zdarzeń dni ostatnich. Czasem podnosił głowę i rzucał czujny wzrok na chorego; chwilami zdawało mu się, iż na wyschłe ostre rysy Szwarca pada mrok śmierci. Augustynowicz rozmyślał, jak ten człowiek niedawno jeszcze tak czynnie i szeroko żyjący, za parę dni będzie może czémś martwém tylko, co zakopią w ziemię i... finita la comedia! Och! myśl codzienna i zwyczajna, a codzień równie gorzka dla tych, którzy muszą tak myśleć: Koniec!... proch!... A jednak, gdy żył pełném życiem, wtedy sądził, wybierał, działał może i szerzéj od innych. Jak pług odrzuca rolę, tak on na gruncie życia z pokładów zła i dobra dobywał dobro i...? Mimowoli człek pyta o sens moralny téj bajki. Gdzie, kiedy, na jakich gwiazdach, na jakich planetach znajdzie się zagrobowa odpowiedź dla żyjących? Nieśmiertelność!.. W oceanie czynów ludzkich może i żyją jakieś moralne atomy czynów zmarłego ale owo: Ja—potężne, energiczne, świadome siebie—gdzie ono? A i owe czynów atomy, to niby trup majtka spuszczony z okrętu w otchłań morską. Gdzie szukać i kto je odszuka? Czy Bóg wyłowi je kiedyś z tych fal bezbrzeżnych, i odtworzy z nich nową świadomą siebie istotę? „. . . . . è bene trovato!"

Gorycz tych myśli osiadła teraz na sennem czole Augustynowicza, a tymczasem szyby z czarnych zaczęły się robić szare... Dniało. W pokoiku blask świecy różowiał stopniowo i omdlewał, przedmioty zaczęły się wychylać z cienia, na korytarzach słychać już było kroki służby szpitalnéj. W godzinę potém wszedł doktór.

— Cóż chory? spytał.

— Źle, odrzekł krótko Augustynowicz.

Doktor wysunął z powagą dolną wargę, namarszczył się i wziął za puls chorego.

— Co pan myślisz? spytał Augustynowicz.

— A cóż?! nic nie myślę—źle, bardzo źle!

Po twarzy Augustynowicza przeleciał odcień ironii. (*d. c. n.*)

DAWNI LUDZIE.

GAWĘDA.

Dokończenie. (*Ob. Nr. 57*).

Lecz znów odbiegłem od właściwéj treści,
A tyś ciekawy pewnie méj powieści;
Więc trzeba wrócić.
Pomnę doskonale:
Było to właśnie po świętym Michale,
Kiedy jak zwykle i trakty bitemi,
I drożynami, ze wszystkich stron ziemi,
Panowie szlachta zjeżdżać się zaczęli.
Wedle zwyczaju zamożniejsi mieli
Kuchnię podróżną, własne służby liczne,
Ba, często nawet zapasy piwniczne;
Bo chociaż Węgier niezły był w Dąbrowie,
Przecież nie chodził tak mile po głowie
Jak stare, z beczek opleśniałych wina.
A zaś my, szlachty drobniejszéj drużyna,
Chociaśmy dworno, szumno nie jeździli,
Przecięśmy faskę bigosu wozili,
I łyżkę w torbie, i kiełbasę, panie—
Szynkę i pieczeń—ot, na co dom stanie,
I czém nas hojna gospodyni ręka
Opatrzy w drogę. Boć to istna męka
Po tych mieścinach! Ledwo kupisz chleba,
I onym chlebem żywić ci się trzeba,
Albo żydowskim kuglem od szabasu,
Jeśliś się w podróż wybrał bez zapasu.

U Ejberszyca w bilardowéj sali
Z naszémśmy gronem się roztasowali:
Wiktorzy, Wolski, Zborowski, my wszyscy,
Dobrzy znajomi i sąsiedzi blizcy.
Więc powitania, śmiechy, pogadanki,
Na powitanie idą w koléj szklanki;
Daléj przekąski,—każdy z nas dostaje
Podróżnéj torby, częstuje, podaje,
Wszystko serdecznie, wesoło i szczerze!
Zborowski z każdéj torby sobie bierze,
Wszystko zajada, kosztuje i chwali,
Żwawo się jakoś uwija po sali.
Lecz mu to mało—bo trza wiedzieć panie,
Że za dziesięciu zjeść obiad był w stanie!
Wtém jakiś żydek na salę przychodzi
Z wieścią: że właśnie traktyernik z Krakowa
Przybył—a cała upewnia Dombrowa,
Że z jego kuchni tylko jeść się godzi.
— „Dobra nowina! nowina wesoła!
Krakowskie zrazy!" Zborowski zawoła.
„Próbować będziem czy pieprzne, czy smaczne,
Masła, imbieru, szafranu czy dosyć?
Moi panowie, próbować *ja* zacznę.
No, na dwanaście osób obiad wnosić.

I nasz Zborowski chcąc wszystkich ubawić,
Wpośród powszechnych śmiechów i radości,
Kazał stół wielki na dwunastu gości
Na cały obiad nakryć i zastawić.
Kelner i służba uwija się żwawo,
Stół gotów, idą z najpierwszą potrawą,
A gości niema, na których czekali...
Jak na to szczęście przychodzą do sali
Jakieś *ausländry*—a... wszystko wybladłe,
Chude jak widma, a gęby zapadłe
Widać że doma mało mieli chleba,
I przywędrować do nas było trzeba.
Wchodzą do sali — pachnie im kiełbasa...
Wtém pan Zborowski do stołu zasiada,
I... za dwunastu sam barszcz z rurą zjada!
Przynoszą mięso... on popuszcza pasa,
Ba... ot potrawę trzecią, czwartą panie,
Je! jakby jeno maleńkie śniadanie.
Tak się mignęły pierogi, bigosy,
Flaki i raki, i mięsa i sosy,
Pieczeń huzarska, i co jeszcze było.

My się śmiejemy... a Niemcom niemiło;
Rozwarłszy usta, wytrzeszczywszy oczy,
Łykając ślinkę stoją na uboczy.
A tu Zborowski powstaje z siedzenia,
Pas swój zdejmuje, i woła:
— „Jedzenia!
Bom strasznie głodny."
— „Obiad już skończony.
— „Już?!! to ja dzisiaj mam być zagłodzony?!!
Jeść! jeść na Boga! straszliwy głód czuję...
Ha! to, Niemiaszki, was teraz skosztuję!"
Wrzasnął i skoczył,—Niemcy przerażeni
W nogi! Zborowski za nimi do sieni...
Ledwo na rynku się opamiętali,
A my się śmiejąc za boki trzymali.

— „No, choć u stołu ty jesteś rycerzem,
Ale się teraz na gardła przemierzym
Panie Zborowski!" przemówił pan Wolski,
Dostając z torby kielich staropolski.
— „Nie, rzekł Zborowski, nie dam temu rady!
Ale że mi też pod koniec biesiady
Pouciekały te biedne Niemiaszki!
Byłbym ich łykał jak pieczone ptaszki."

A Wolski na to:—„Zborosiu, na próbę,
Kto z nas mocniejszy!" A rękę miał silną,
Podkowę, szynę rozłamał niemylno.
Zborowski znowu: —„ Nie pójdę na zgubę,
Wiktor niech stanie."
Więc się mocowali,
I Eliasz Wolski został zwycięzony.
Wtém patrzę w okno... Ktoś tak z bicza wali,
Czy jedzie magnat najpierwszy z Korony?
Czy jakie książę z Wiednia bies nam niesie?
(Och, lepiéj weź ich wszystkich panie biesie!).
Patrzę: tu licha na dwóch kołach biéda,
Jedna szkapina chuda jak u żyda,
A na téj biedzie rozsiadł się szlachcina,
Chuda persona, a buńczuczna mina.
Zsiadł, ale nie zdjął swéj czapki za progiem,
Wszedł i powitał wszystkich Panem Bogiem —
I usiadł sobie za stołem na ławie.

Kontusz makowy dobrze wyszarzany,
Pasina licha, srebra nie znać prawie,
Czapka sędziwa i but wyterany...
A my, co zwykle sądzimy po minie,
I mieli trochę gorąco w czuprynie,
Żwawo puściwszy na wolność języki,
Nuż dawać onéj szlachetce przytyki.
Szlachcic brew zmarszczył, słucha, nie rozumie,
Czemu nim bracia tak gardzą w swéj dumie.
Drwinki i kpinki brzęczą jak owady
Koło szlachetki—widać chcemy zwady...
Ten mu rzekł drwiąco coś: o *pigmejczyku*,
Ów o *karzełku*, ów o *lilipucie*.
Wreszcie zdziwiony, wśród śmiechu i krzyku,
Słysząc po trzykroć Wiktora nazwisko,
Nie pomnąc wcale o szlacheckiéj bucie,
Z słodkiem spojrzeniem pokłonił się nizko,
I rzekł z uśmiechem:
— „A! moi panowie,
Niechże mi który z łaski swojéj powie,
Gdzie jest pan Wiktor.
Wiktor się odzywa:
— „ Nas tu dwóch braci; któregoż prawdziwa
Łaska, prawdziwe dziś szczęście spotkało,
Że się waszmości o *nas* pytać chciało?"

—„Więc to dwóch panów? a któryż mocniejszy?
Do tego miałbym interes pilniejszy."
— „Obajśmy równi—w czémże służyć waści?
Czy na jarmarku lękasz się napaści,
I chcesz ażebym był twoją obroną?
Jam gotów walczyć choć z całą Koroną
Za twą personę!"
— „Służby uniżone
Za waszmość pana łaskę i obronę;
Mogę wzajemne oddać mu usługi,
Lecz wprzódbym prosił *na próbę* waszmości,
Kto z nas mocniejszy."
Z piersi wszystkich gości
Wyrwał się nagle śmiech głośny i długi
Patrząc na taką postać szerepetki
Szczupły był, nędzny i mały i wietki,
Kiedy zasadził swą czapkę na oku
I szerpentynę poprawił u boku,
I butnie stanął przed panem Wiktorem.
Wiktor ogromny, budowy prześlicznéj,
Postawy pięknéj, dumnéj, monarchicznéj,
Barków szerokich jak gdyby Tytana,
Rzekł mu z pogardą:
—„Proszę ja acana,
Próba mocnego ze słabym to szpetnie!
Acan przedemną, jak chłopię dzieletnie,

Jakaż tu próba? Nie będzie méj winy,
Jeśli cię rzucę pod stołowe nogi,
Ja—co dąb złamę jak pręcik wikliny."

—„Tchórzyć niepięknie—więc mój panie drogi,
Kiedym już wyzwał, na wszystko się zgodzę..."
Rzekł, i pokornie rączyny zaciera,
Skulił się, zmalał, z podełba spoziera...
Ta jego minka i pokora, srodze
Pana Wiktora ubodzie i gniewa,
Stanął do próby, ale od niechcenia,
I wcale wszystkiéj siły nie używa,
Lecz gdy pod parciem pół siły ramienia
Ani drgnął szlachcic—to się już nie śmieje
Wiktor. Już prawie zrozumieć nie zdoła,
Czy on dziś osłabł, czy się tu cud dzieje?
Rękę wytężył, aż kropli pot z czoła,
Noga do nogi—poczerwieniał cały—
I... zachwiał troszkę! A nasz szlachcic mały
Stoi jak granit, ręce ma ze stali...
Gdy już wzajemnie swe siły poznali,
Daléj za bary!

—„Wiktor, Wiktor górą!"
My na zachętę krzyczym całą chmurą—
„Nie daj się—nie daj! A to wstyd, mosanie!
Za drzwi szlachetkę! za drzwi!!!"

Gdzie tam, panie!
Wiktor się z całéj mocy już opiera,
I cofa nazad, i znowu naciera,
I wszystkich swoich fortelów używa;
Szlachcic zna wszystkie, wszystkich się spodziéwa,
Umie uniknąć odskokiem, schyleniem,
I znów naciera stalowém ramieniem.
Wtém... czy posiadał jaki fortel nowy,
Czy zdrady użył, czy z nim łaska boża,
Porwał Wiktora... przez stół billardowy
Przerzucił lekko jakby snopek zboża.

Wiktor się podniósł, był blady jak ściana,
Pięść silnie zwinął—na usta mu piana
Biała wybiegła—urósł na olbrzyma,
Jak błyskawicą okolił oczyma,
Pragnienie zemsty dyszało zeń wściekle,
I był jak szatan ów przykuty w piekle.

Zaśmiał się strasznie i porwał za szablę:
—„Ha, zginiesz! zginiesz! ty szlachcicu... dyable!
Ja ci odpłacę, ja ci nie daruję!"

Brat go i Wolski za ręce wstrzymuje:
—„Bracie! bezbronny... ty z bronią! morderca!"
—„Puszczaj! ja z piersi dobędę mu serca
Za mój wstyd srogi!"

—„Bracie, bracie drogi!"
Woła brat starszy: „na Chrystusa rany,
Na Matkę Bozką!"

Wiktor niewstrzymany
Wyrwał się wszystkim, a szlachcic bez trwogi
Patrzy szyderczo, a jego wejrzenia
Jak lód padają na piersi Wiktora.
Cichutko wezwał Maryi imienia,
I szerpentynę od siebie odrzuca
I pierś odkrywa... Wnet zniknął jak zmora
Gniew i zaciętość,—na szyję się rzuca,
Wiktor zwycięzcy—my ich otoczyli
Z głośną radością szczerém bratniém kołem,
Za nieznanego zdrowieśmy wypili,
I tak się sprawa skończyła za stołem.

Odtąd nasz Wiktor całkiem stracił minę,
Fantazyę stracił, posmutniała dusza!
Nie każdy wiedzieć mógł tego przyczynę,
Lecz... makowego on szukał kontusza.
Więc po odpustach, po stypach rozlicznych,
I po jarmarkach jeździł okolicznych.
Jeździł naprożno. Czy chciał w drugiéj próbie
Stracone imię znów odzyskać sobie?
Może—bo z siły imię mu urosło,
I tém imieniem serce w pychę wzrosło;
Siła złamana, więc nie ma imienia.
Widać to było z Boga dopuszczenia—
Bo szlachcic przepadł, a w naszym powiecie
Bójki, zaczepki ustały raz przecię.
Bo odtąd w sercu poczciwém Wiktora
Nieznana dawniéj osiadła—pokora.
Często go odtąd widziano w kościele.
Gdy dawniéj nawet nie bywał w niedzielę—
Teraz się modlił szczerze wespół z ludem,
A ta pobożność była prawie cudem!

Trzeba ci wiedzieć, że gdy długo bawił
W swojéj młodości pomiędzy obcemi
Poczciwą wiarę ojców tam zostawił,
Przywiozłszy w zamian do rodzinnéj ziemi
Troszkę rozumu, fałszywéj pozłoty,
Troszkę szyderstwa i zimnego śmiechu—
Lecz było na dnie duszy ziarno cnoty,
I odtąd zeszedł z błędnéj ścieżki grzechu.

Ot—byli ludzie z jakąś piersią szerszą—
A w szerszéj piersi większe serce mieli—
A w większém sercu miłość bratnią szczerszą,
I choć źle było—lecz było weseléj!
Śmiech był głośniejszy i idący z duszy,
Żarty, to szczere jak zabawy dzieci—
A gdy czasami łza w oku zaświeci,
To płynie z serca i serce ci wzruszy!

A gdy w niedzielę byliśmy w kościele
I za processyą śpiewał lud zebrany:
„Boże w dobroci nigdy nie przebrany"!
Lub pieśń do Maryi, do naszéj królowéj,
Aby czuwała nad ludzką niedolą,
To się nie wstydził szlachcic kontuszowy
Klęknąć i śpiewać z duszą rozmodloną,
Aż mu się z oczu rzewne łzy polały
Gdzieś na dno duszy i duszę spłókały.

Teraz pobożność i zimna, i niema—
Ni w piersi głosu—ni łzy w oku nie ma.
Wstyd wziąć różaniec albo książkę w rękę,
Wstyd głowę odkryć widząc, bożą mękę—
Klęknąć... a! któżby tam przyklękał z tłumem?
Śpiewać... a! czyż to się zgadza z rozumem?
Pochylić głowę?... do czego i na co,
Kiedy ci w serce myśli nie kołacą
Święte i zbożne? gdy pokora biała
Nie wchodzi z tobą do progów kościoła,
Aby przy tobie jak stróż anioł stała—
Białemi skrzydły nie dotknie ci czoła,
Abyś je schylił—a serdeczna skrucha
W proch ci nie strąci skażonego ducha,
By łzami szczeréj pokuty obmyty
Za łaską bożą podniósł się w błękity?...

. . . .

Wnuk powstał z ziemi—czyż to blask płomienia
Wyniosłe, blade czoło opromienia?
Czy jasność ducha?

. . . .

—Cześć pięści, rzecze, to cześć szatanowi—
Siłę duchową czcimy, ludzie nowi—
Obszerne pole wiedzy, rola nasza—
Choć droga trudna, nas to nie przestrasza
Czujem, że świt się powoli przybliża.
Fiat lux tryśnie z obu ramion krzyża
Gdy czynem życia stwierdzim wiarę szczerze,
Nie martwém słowem—my światła szermierze!

. . . .

—Ha, dajże Boże, by was wielu było!
Lecz, nie zaszkodzi odmówić pacierzy
Za was—rozumu i światła szermierzy—
Za was—co niemi i smutni na świecie;
Nim mię milczącą przykryją mogiłą,
Będę się za was modlił moje dziecię.

J. K. S.

BIBLIOGRAFIA.

Oderwane nuty. Poezye Lesławy Korpaczewskiéj. Warszawa 1872.

Wyszedł niedawno zbiorek ulotnych wierszy przez p. Lesławę Korpaczewską. Zbiorek, ten jak utrzymuje sama poetka, nie był przeznaczony początkowo do druku. Wierzymy temu chętnie i tém więcéj że treść wierszyków ma charakter poufnego opowiadania dziewiczych rojeń a złudzeń, chętek a zawodów, z których nie każdemu i nie zawsze zwierzać się przystoi. Poetka „bierze pióro żeby dążyć za lotem rwącéj się duszy... jéj śpiew jest jakoby jedną łzą w nieskończoność płynącą"... Wszystko to być może, ale pocóż z udręczeń swoich robić popis publiczny, zwłaszcza gdy czytelnik nie wie o co rzecz idzie, dokąd rwie się tak gorączkowo smętna duszyczka, czy osoba strapiona słusznie narzeka, czy tylko tak sobie bez przyczyny grymasi. Bywają łzy udane, bywają nierozsądne. Płacze złośliwe dziecko, gdy mu nie pozwolą udrapnąć braciszka, płacze zepsuta kobieta gdy jéj odmawiają modnego stroju, płaczą faryzeusze i tchórze, a wieść głosi że rozczulają się nawet krokodyle. Nie dość więc nadąsać się, żeby już zaraz wywołać interes i współczucie u ludzi obcych, niemających żadnéj sposobności dowiedzenia się co znaczą te żale osobiście roznoszone lub szlochy drukowane.

Za przedmiot *Oderwanych nut* p. Korpaczewska obrała głównie rozpacz jakiejś zbolałéj istoty, płci niewieściéj, *jakiéjś* powtarzamy, nie chcąc przypuścić, żeby poetka mówiła tu ciągle o sobie. Wstrzymuje nas od podobnéj hypotezy już sama dedykacya książki ofiarowanéj „braciom—kolegom męża" więc zapewne i przyjaciołom autorki. Ofiara taka, zwykle ma na celu uświęcić jeśli nie pamięć głębszych uczuć to przynajmniéj stosunek szczeréj życzliwości. Tymczasem posłuchajmy jak poetyczna męczennica w *Oderwanych nutach* p. Korpaczewskiéj traktuje związki temiż właśnie trzema dedykacyjnemi wyrazami określone:

O czy wy wiecie, co to cierpienie
Bracia bezduszni — zimne kamienie!

Wyznanie pierwsze, stosujące się do węzłów *braterstwa*... A daléj:

Przyjaźń to pusty dźwięk, bez znaczenia,
To jeszcze dzikszéj ironii ton!...

Wyznanie drugie odniesione do moralnych sprzymierzeńców strapionéj osoby.

Nakoniec, w wierszu *do czapki akademickiéj:*

O, czapko, czapko ty nieszczęśliwa!...
....Gdy spuszczą z ceny żyd cię kupuje!...
....O czapko miła! podobne dole,
I w życiu naszém jednakie role,
I ja wyrzucę wszystkie wspomnienia
Wyrwę, zagładzę, aż do imienia!
I w inną farbę lica przystroję,
Jak handlarz sukno spłowiałe swoje.
Potém targować mądrze się trzeba,
Bo romantyczność nie daje chleba,
Targować, mając bogacza kupca
Skwitować z marzeń i załapać głupca!

Wyznanie trzecie tyczące się już poglądu na małżeństwo. Oczywiście, w taki sposób przemawiać tu mógłby chyba kto inny: postać zrodzona w fantazyi, lub odwzorowana umyślnie z dążnością satyryczną... Alež nareszcie kogo ta postać wyobraża?

Rysopis jéj krótki: jest to zarozumiała i samolubna marzycielka. Patrzy ona z góry na rzeczywistość, lub odtrąca ją lub spotwarza za to że

nie znajduje w niéj odpowiedniego swoim polotom obszaru:

Co to jest życie? to sen duszący
Ciężki, ponury co piersi tłoczy...

I na ten temat *łza pieśni* płynie „w nieskończoność,"

A miłość? Miłość to także „męka," „boleść wielka," „zgon przedwczesny bez nadziei i wiary!....

Więc precz z miłością i marzeniami,
Bo z *przeznaczeniem* (?!) walka za trudna...

Kiedyś jednak było inaczéj, kiedyś czuło się żywiéj i śpiew rozlegał się weseléj. Dowiadujemy się o tém z następujących dwóch wierszy:

„O, zejdź jasna gwiazdo! niech twe drżące dźwięki
„Poruszą dawne echa *przedrgałéj* piosenki!..."

Piosenka „*przedrgała*" nie wraca przecie, a natomiast zjawiają się znaki bodaj że zadawnionéj choroby:

Serce się zrywa, *szaleje* dusza,
Mózg — jakiś dziwny płomień *wysusza*.

To już bez żartu źle bardzo, i to tém groźniéj, że pacyentka ani myśli o skutecznym ratunku:

Ja nie chcę *prawdy* niech mnie nie budzi.
Złudzenie—szczęściem *nas* biednych ludzi!

Pominąwszy że „Złudzenie szczęściem *nas*"—nie daje się usprawiedliwić żadną grammatyką, śmiemy zapytać, czego żąda rozgorączkowany subjekt?

Przedostatni wiersz zbiorku poezyi p. Korpaczewskiéj objaśnia czytelnikowi zagadkę:

O! szału chwilo i zapomnienia,
Przyzywam ciebie jako zbawienia!
Chodź — splącz me zmysły... przyćmij mi [oczy,
Ohydne życie niech w mrok się stoczy.
Niechaj zapomnę żem od *nich* inna,—
Choćby duch potém wołał: „tyś winna!..."
...Dajcie więc blasku, gwaru i szału!
Dajcie gorączki chwilę upału!
Dajcie trucizny!....

W obec takiego usposobienia wszelkie już przestrogi na nicby się zapewne nie przydały. Zamykając książkę polecamy jéj rozmiłowany w szale ideał czuwającéj nad szaleńcami opatrzności...

Jedną tylko pozwolimy tu sobie zrobić uwagę. Pani Korpaczewska *może* ma talent poetycki, lub właściwiéj mówiąc, możeby go miała, gdyby potrafiła rozwijać swoje zdolności w zupełnie innym niż dotąd kierunku. Kropelka pospolitego uczucia i trochę dziwacznych pragnień posłużyły jéj do zapełnienia rymami około stu trzydziestu stronic. A jeszcze i ta niewielka ilość zakrawa raz na zmorę senną, to znowu na instynkta niższéj natury. Autorka sądzi że cel jéj pieśni jak wpływ mazurka lub dumki ukraińskiéj niby mały, lecz głębiéj patrząc, może i doniosły. „Może te drżące, tęskne tony piosenki, któréj owocem w téj chwili łza tylko, lub jéj przeczucie w oku (?), z czasem stają się pochodnią, co przyświeca pięknym porywom ducha i jego czynów!" Niepraktyczna to nadzieja! Wartość *Oderwanych nut* jest błahą sama przez się, a na szczęśliwy, lecz nadzwyczajny traf któryby ją mógł podnieść kiedykolwiek choćby tylko do znaczenia dumek ukraińskich—doprawdy, rozsądnie liczyć niepodobna.

W poezyach pani Korpaczewskiéj znajdujemy wiele napuszystych lecz bezmyślnych wyrażeń, jak np. Konań *męką tląc*, *echem* wiecznie się *tli*, *myśl się w sercu pali*, *sen snuje się w głowie*, *zbroja* którą w serce *wlał*, rozum pęta *w moc*, czar mnie mglisty *rwał* do siebie bezwładnością snu, bo wydrwiwszy dziwny *krok pytań* ten i t. d. Rymy są tu po większéj części łatwe i nie harmonijne, a natrafiliśmy i na takie: głową żałobą, ucichną zникną, będę w przęgą, śpiewie pogrzebie, muzyka oddycha, niemi rumieni, koronę strunę, gwałtownie porwie i t. d.



Augustynowicz rzucił się przed nią na kolana.
Illustracya Henryka Pillatego do powieści.

ŻELAZNY MOST POD LIMA.

Zamieszczając rysunek wspaniałego żelaznego wiaduktu pod Lima, prawdziwego arcydzieła tegoczesnéj sztuki budowniczéj, korzystamy ze sposobności by przytoczyć kilka uwag o zastosowaniu żelaza jako materyału budowlanego.

Stawianie stałych budowań z żelaza, w szczególności zaś mostów, stanowi jedną z najważniejszych gałęzi nowszéj techniki. Dopiero w ostatnich dziesiątkach lat budowanie mostów rozwinęło się w sposób zadziwiający, z jednéj strony pod naciskiem coraz większych potrzeb komunikacyjnych, z drugiéj zaś pod wpływem coraz większych zastosowań żelaza. Jako poprzedniki a w pewnym względzie i wzory mostów żelaznych uważać należy wielkie mosty drewniane, które z zadziwiającą śmiałością zarzucano w Ameryce, téj części świata pełnéj swobodnego ruchu i wolnéj od uprzedzeń, po nad dolinami i strumieniami na przestrzeniach 300 a nawet 400 stopowych. Podobne zresztą godne uwagi budowy wznoszono dawniéj i w Niemczech.

Jakkolwiek te mosty w ciągu ubiegłych lat dobrze się trzymały, drzewo jest wszakże materyałem podlegającym wielu szkodliwym wpływom, które osłabiają jego wytrzymałość, co przemawia stanowczo za zastosowaniem w tym razie żelaza.

Pierwsze mosty żelazne były naśladowaniem kamiennych, ale używano do nich żelaza lanego, głównie dla tego że nieposiadano jeszcze środków wyrobienia sztab kutych odpowiedniéj długości i formy, chociaż żelazo kute dla swojéj wielkiéj wytrzymałości na zgięcie i wyciągnięcie daleko jest lepszém na ten cel niż surowe odlewy.

Pierwsze mosty z żelaza kutego budowano z zastosowaniem łańcuchów. Były to tak zwane mosty łańcuchowe. Z początku z powodu ich ruchliwości uważano je za mniéj wytrzymałe od stałych i budowano je tylko dla ruchu pieszego. W nowszych jednak czasach po zastosowaniu lin drucianych zamiast łańcuchów, po mostach tego rodzaju przebiegają już nawet pociągi kolei żelaznych.

Długość tych mostów doszła do wymiaru większego niż kiedykolwiek. Dość tylko przytoczyć most druciany pomysłu zmarłego niemieckiego inżyniera Röblinga, długi na 2000 stóp. Projektowano zresztą już podobne mosty długości 3000 stóp.

Nastręcza się przytém naturalnie pytanie, jak daleko na téj drodze zajść można. Otoż teorya na to odpowiada w taki sposób: długość przęsła wolno zawieszonego zależy od wytrzymałości materyału. Przy wyznaczeniu zaś granicy téj wytrzymałości biorą się w rachunek, stosunek wagi saméj budowy i poruszających się po niéj ciężarów do wagi właściwie dźwigających części, jak naprzykład lin drucianych, na których wisi most. Dość prosty rachunek doprowadza do wniosku, że przy zastosowaniach lin drucianych można budować mosty wiszące o długości 2,000 do 3,000 stóp angielskich.

Systemy blachowy i kratowy znalazły zastosowania w mostach żelaznych kolejowych szczególniéj w Europie. Ostatni zwłaszcza system udoskonalony w ostatnich czasach przez angielskich i niemieckich inżynierów użytym został przy godnych podziwienia budowach. Pomiędzy innemi zaliczyć tu wypada wyobrażony właśnie na rysunku most, tak zwany Varrugas-Viaduct w Peru, należący do najśmielszych dzieł nowszéj inżynieryi. Droga ta zbudowana pomiędzy Lima i Alequipa aż do Pima, wznosi się miejscami pod Puno i jezioro Titicaca na 14,600 stop po nad poziom morza. Zamieszczony na rysunku wiadukt znajduje się pomiędzy Limą i Oroyą, jest o czterech otworach szerokości od 100 do 125 stóp angielskich. Słupy, z których jeden wznosi się na 252 stóp są najwyższemi filarami, jakich kiedykolwiek użyto pod most. Każdy z nich składa się z 12 słupów z żelaza kutego wysokich po 25 stóp, połączonych z sobą za pomocą lanych w rodzaju skrzyni poprzecznic. Że zbudowanie tego mostu złączone było z wielkiemi trudnościami, niepotrzeba na to zwracać uwagi. Bez zaprzeczenia cała ta budowa stanowi godne podziwu dzieło nowoczesnéj techniki.

Treść: Szkice Antropologiczne St. Chomentowskiego (dokończenie). — Na Marne, szkic powieściowy Henryka Sienkiewicza (c. d.) — Dawni ludzie, gawęda (dokończenie). — Bibliografia. — Żelazny most pod Lima. — **Ryciny:** Stado koni. — Most żelazny pod Lima. — Illustracya do powieści. —

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 6 (18) Іюля 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

W Drukarni S. Orgelbranda Synów. w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.